NUMER 14. DNIA 6-go KWIETNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

LEOPOLD STAFF

ZMIERZCH WINY.

Jakże mnie karać będziesz, Panie,
Za grzechy moje i za winy,
Gdy zegar dni mych bić przestanie?

Minione dni — to snów głębiny
W nicość rozprzęgłe, próżne czasze,
Niegdyś miodnymi skrzące płyny.

Przewiny nasze, grzechy nasze
To dni trawione swymi żary,
Aż mrok nicości je opasze.

Każdy grzech w sobie ma rdzeń kary —
A kara grzechom to ich zgłada...
Jak smutny dzień nasz zmierzchem stary!...

Każdy dzień w głąb nicości pada,
Każdy dzień to zatrata niema,
Zaród, by śmierć zeń wzrosła blada...

Przecz chcesz go dłońmi bić obiema?
Zginął... Sam karę na się włożył...
Jak skarzesz, Panie, czego nie ma?...

A jeśli — by był skaran — ożył
Twą Mocą, przecz chcesz mścić przeżyty
Dzień na mnie? Tyś go wtórnie stworzył!

O, jak zszarzały me błękity!
Dziś dzień mój pełza w mgieł szarości...
A miałem dzień, co sięgał w szczyty...

Są winy dumne w swej grzeszności,
Które, choć gniew Twój na nie spieszy,
Wagą na szali są wielkości.

Nawet mnie duma nie pocieszy,
Że stanie dzień przed Twem obliczem,
Gdym grzeszył, jak duch wielki grzeszy...

Nie stanie grzech mój pod Twym biczem,
Bo nie ma już dnia grzechu mego.
Przewina moja jest dziś niczem...

Grzech to dzień życia minionego...
Nie padnie pod Twych rąk karanie —
A chwile me do końca biegą...

Jakże mię karać będziesz, Panie?

Ś. p. ks. Władysław Siarkowski.

Pisma codzienne podały w rubryce „nekrologja“ krótkie notatki o zgonie księdza Siarkowskiego. Na świeżo usypaną mogiłę człowieka zasłużonego nie padło ani jedno wspomnienie, ani jedno słowo pożegnania, choć zmarły był stokroć pożyteczniejszy, choć nieporównanie więcej zdziałał od wielu naszych „znakomitości“, których zasługi fabrykuje się z mozołem dopiero po zgonie...

Był ks. Siarkowski unikatem w swoim rodzaju u nas w całej Polsce, bo był jednym z tych nielicznych kapłanów świeckich, którzy po za obowiązkami swego powołania, po za spełnieniem czynności kościelnych, czuli żywo inne jeszcze obowiązki, jakie winni byli wypełnić wobec społeczeństwa. Jest on dla nas niezbitym przykładem, a przykładem nader pouczającym i dowodnym, że czynności duszpasterskie nie pochłaniają tak wiele czasu, iżby samem ich wypełnianiem można się zadowalać, iżby po za tem nie pozostawały już żadne więcej powinności do wykonania. Boć przecież ś. p. ksiądz Siarkowski piastował niemało godności kościelnych bądź jako wikarjusz kościoła Najśw. Marji Panny w Kielcach, bądź jako proboszcz parafji Kije, jako regens konsystorza kieleckiego i kanonik honorowy djecezji sandomierskiej. Obowiązków duchownych miał z pewnością nie mniej od każdego kapłana, a przecież mimo, że wypełniał je sumiennie, potrafił znaleść tyle czasu, aby przysłużył się nauce rzetelnie i cząstkę siebie po sobie zostawił.

Możeby był więcej umiał i chciał zdziałać dla nauki, niż tego czynem dowiódł, możeby zasługa zmarłego była większa i wydatniejsza, gdyby był posiadał odpowiednie i konieczne przygotowanie naukowe. Ś. p. ksiądz Siarkowski, który, licząc 25 lat życia, otrzymał w roku 1864 święcenia kapłańskie i oddał się pełnieniu funkcji

214

FR. HERITES.

Z WIRCHÓW...*)



Stanęliśmy na szczycie jednego z najdumniejszych olbrzymów Szumawy.

Dzień szybko się chylił ku wieczorowi, nam jednak nie było pilno. Nie leżała przed nami daleka droga: postanowiliśmy przenocować pod otwartem niebem, otuleni w pledy, czuwając kolejno u jasnej watry. Byliśmy wówczas w wieku, który się lubuje w przygodach romantycznych, nie posiadających już uroku w latach późniejszych.

Spoczęliśmy na głazach, które wieńczyły szczyt góry.

Dookoła roztaczał się rozległy, w nieskończoność, zda się, biegnący widok.

Powietrze, jak to bywa w górach jeno, podczas letnich wieczorów, jasne było, kryształowe, i jak wino upajające.

Nagle przejrzyste jego fale zmącił drapieżny ptak — orzeł. Na wyżyny dążył, wzbijając się w górę szybkim, jak błyskawica, ruchem skrzydeł.

Po chwili dalej nieco zakołysał się inny ptak. Leciał wolniej, zatrzymując się, ale dla własnej jeno przyjemności i z własnej woli... Przeszkoda żadna nie krępowała jego lotu.

Ciemność, zgęszczająca się nad ziemią z leśnych oparów, zasłoniła pierwszemu ptakowi drogę, ale przebił się przez nią, igrając. Drugiemu znowu wiatr zadął w skrzydła; wytężyć musiał z całej siły czarne wiosła, aby przemódz niespodziany prąd, w którym się znalazł... a jednak — kilka potężnych uderzeń — i oto już płynie znowu, lekko i swobodnie, ku swemu celowi...

*) W oryginale obrazek niniejszy, pióra jednego z najznakomitszych spółczesnych pisarzy czeskich, drukowany w noworoczniku „Sokoła“, nosi tytuł: „Wieczór na Szumawie“.

duchownych, był pozbawiony warunków niezbędnych dla każdego, kto chce przysłużyć się istotnie jakiejkolwiek gałęzi ludzkiej wiedzy. A przecież pomimo tego mógł o sobie w godzinie śmierci śmiało powiedzieć, że o ile to było w jego mocy — służył przez cały żywot wiernie nauce, że do ogólnej sumy faktów naukowych dorzucił ze swej strony cegiełkę. Czynności kapłańskie zbliżyły go odrazu do ludu już wtedy, gdy był wikarym kieleckiego kościoła, a zacieśnił się węzeł ten jeszcze więcej, gdy przeniósł się ś. p. ksiądz Siarkowski na probostwo wiejskie. Patrząc bystrem okiem na życie codzienne chłopa, dojrzał, czego tysiące przed nim nie widziało, czego wielu takich, jakim on był, po nim nie dostrzegło, — zobaczył, że życie wieśniacze ma sporo stron swoich nadzwyczaj ciekawych i godnych bliższego zbadania, że fantazja ludu nie próżnuje, lecz owszem buduje ciągle nowe obrazy w postaci pieśni, baśni, wierzeń lub zabobonów. Dostrzegł też zarazem, że wiele cennych zabytków historycznych i pamiątek z biegiem czasu niszczeje i zatraca się doszczętnie z wielką szkodą dla nauki. Niebawem przekonał się, że ani do opisów etnograficznych, ani do zachowania dla historji wiadomości o zabytkach dziejowych nie potrzeba specjalnych studjów przygotowawczych, jeno trochę dobrej woli, pracowitości i sumienności. Stąd też, skoro w nim obudziło się poczucie obowiązków, skoro poznał, że zarówno jedne, jak też drugie rzeczy należy uchronić od zagłady, jaka prędzej lub później byłaby nastąpiła nieodwołalnie, z zapałem i umiłowaniem serdecznem oddał się pracy naukowej. Wprawdzie prace tej drugiej kategorji, pomiędzy któremi najważniejsze: „Groby kościoła Najśw. Marji Panny w Kielcach“ (1872 r.), „Bulla erekcyjna djecezji i katedry kieleckiej“ (1872 r.), „Wiadomość o zabytkach przedhistorycznych w Rembowie pod Pińczowem“ (Zbiór wiadomości do antropol. kraj.“ 1886), „Wiadomość o zabytkach przedhistorycznych w Turku, Morawicy i w Trzeciony w gub. kieleckiej“ (tamże 1887), oraz rzesze drobniejszych prac i artykułów w Gazecie kieleckiej i w Przeglądzie bibljograficzno-archeologicznym przeważnie drukowanych, nie mają wybitnego znaczenia naukowego, mimo to jednakże dorzuciły

---

Śledziliśmy lot onych ptaków, już to nurzających się i niknących w niedościgłem dla oka oddaleniu, już wracających ku nam w rozradowaniu i potędze swej wolności.

Słońce gasło. Zapadał mrok. Wtem, z głębokiego parowu leśnego, za którym rozścielała się nasza święta ziemia ojczysta, wzbił się jeszcze jeden, spóźniony ptak. Mocny był i dumny. Leciał, zataczając szerokie kręgi. Śmiało płynął mrocznem powietrzem.

A jednak lot sokoła różnił się od lotu tamtych ptaków — ciężki był, nienaturalny, naprężony.

— Jakożby mogło być inaczej? — zauważył stary góral, który przyłączył się do naszego towarzystwa i znał tu widocznie każdy kamień i każde stworzenie. — Tamci byli po wszystkie czasy dziećmi wolności, a ten dźwigał okowy, nosił pęta...

— Leci, jak gdyby miał skrzydło złamane...

— O nie! — zaprzeczył góral. — Z długiej niewoli wzbił się w przestworza zdrów i silny. Ale dotąd jeszcze dźwiga u skrzydeł część łańcucha, który go przykuwał.

Ptak krążył dalej w około. Ale ciężar ogromny strącał go w dół, ku nizinom, przyciągał ku ziemi, przeszkadzał w swobodnym rozmachu skrzydeł.

— Co się z nim stanie, — z tym ptakiem?

Stary góral wzruszył milcząco ramionami, tak niemal zahartowanymi i zbrązowiałymi od górskich wiatrów, jak otaczające skały.

— Czy będzie wlec dalej marny żywot i nie zazna już nigdy pełni szczęścia?

— Niewola! Oh, przekleństwo na nią! — wybuchnęła chórem młodzież.

— A może osłabnie z wysiłku, a wówczas skrępują go ciaśniejszemi więzy?

— Może zginie...

Góral nie odpowiadał, uporczywie milcząc.

— A gdyby kto zestrzelił łańcuch, nie uszkodziwszy ptaka! — wyrwał się ochoczy, radośny głos z pośród nas.

— Czemuż by nie? — odparł starzec. — Ale i Tellowie – jako wielcy ludzie w ogóle —

sporo wiadomości o tem, czego nie wiedzieliśmy dotąd i o czem nie prędko, lub może nigdy nie bylibyśmy nabrali dokładnego pojęcia. — Za to w ludoznawstwie okazał się zmarły badaczem prawdziwie naukowym, bo prace jego z tej dziedziny nie uroniły do dzisiaj nic ze swego znaczenia.

Ś. p. ks. Siarkowski, objąwszy obowiązki proboszcza wiejskiego, umiłował widocznie wielce lud siermiężny tej gubernji, w której żył i działał, kiedy nie wahał się utrwalić go dla przyszłych pracowników, w szeregu pięknych monografji. Prac z tego zakresu nie wydał wiele, ale wszystkie one są obszerne, sumiennie opracowane i wyczerpujące. Zaczyna się ich kolej „Weselem włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika“ (Kielce 1871), poczem następują w porządku chronologicznym: „Zagadki z okolic Kielc“ (druk. w „Zbiorze wiadomości do antropologji krajowej, tom I. 1877), „Materjały do etnografji ludu z okolic Kielc“ (tamże tom II.—IV. 1878—1880), „Zagadki ludowe z różnych miejscowości gubernji kieleckiej“ (tamże t. VI. 1882) i wreszcie „Materjały do etnografji ludu polskiego z okolic Pińczowa“ (tamże t. IX. 1885). Oprócz wymienionych, ogłosił zmarły jeszcze kilkanaście drobnych notatek w czasopismach perjodycznych. Znaczenie naukowe prac folklorystycznych ś. p. ks. Siarkowskiego jest większe, niżby to na pozór zdawać się mogło komu. Zważyć bowiem należy najprzód tę okoliczność, że zmarły był samoukiem, że dalej pracować zaczął w tym czasie, kiedyśmy nie mieli żadnych podręczników, z którychby mógł był zaczerpnąć potrzebnych wiadomości, że kształcił się jedynie na wzorach dotychczasowych. Pomimo to wszystko, niepodobna zaprzeczyć, że monografje wymienione, mają charakter ściśle naukowy zarówno w układzie, jak i w opracowaniu surowca, zapisanego z ust ludu. Przedewszystkiem cechuje tę pracę, ogromna sumienność i dokładność, powiem nawet — pewien pietyzm, jakim zmarły otaczał lud i wytwory jego wyobraźni. Stąd też poszła inna cecha, konieczna w pracach naukowych, jakiejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej, — widoczne wykończenie, nawet w drobnych szczegółach. Nie raziły go obscoena, tak pilnie przetrzebiane jeszcze dziś przez naszych ludoznawców, bo zmarły wiedział i czuł, że nie ma najmniejszego prawa krępować

---

przychodzą na świat raz na sto, na tysiąc lat. I tam, pod Szwycem, tysiące najznakomitszych, najlepszemi chęciami ożywionych strzelców dosięgłoby strzałą nietylko jabłka, lecz i czoła dziecka...

Umilkł; głęboka cisza zapanowała dookoła. Zamarł nawet szum lasów, poważnie i smętnie kładnących się do snu z nadejściem nocy.

Sokół krążył nad nami ciężkim, znużonym lotem.

— Zgubiony!... Biedny ptak!...

— Zgubiony? — zawołał góral, zrywając się nagle, a siwa jego głowa, pełna charakteru i siły w każdym rysie, jak natura, wśród której żył, podobna była do głowy natchnionego barda lub proroka, którego Bóg zachował ze sławnej przeszłości i postawił tu, na granicy ojczyzny, jako jej strażnika i obrońcę.

— Zgubiony? — powtórzył drgającym głosem. — Byłby nim, zaiste, gdyby spuścił głowę, zwiesił skrzydła i skrył się tchórzliwie a bezsilnie w ciemnej jakiej kryjówce. Ale on się nie poddał! On się nie upokorzył! On toczy bój dalej i dalej walczy o życie na przekór wrogiemu losowi, który go prześladował i prześladuje! A z każdem nowem niebezpieczeństwem skupia i wytęża siły coraz bardziej, aż w końcu...

— Zwycięży! Sławnie zwycięży! — zawołała młodzież z zapałem.

Kraj, ku któremu zwracały się, biegnąc na wschód, nasze spojrzenia, — czeski kraj, spoczywał w milczeniu i ciemnościach głębokiej nocy.

A nad nim, nad tym krajem czeskim, unosił się sokół, krążąc i wzbijając w górę — jak rzucone przyszłości pytanie, które niewidzialna ręka kreśliła na tle nocy...

Na tle nocy, z której milczenia i mroku wykwita cudownie zorza, jasność, dzień...

Przełożyła za upoważnieniem Autora

M. Wysłouchowa.

nauki względami przyzwoitości, że nie ma prawa skazywać nawet utworów wyuzdanej muzy ludowej na zatratę. I to rys charakterystyczny prac jego, zasługujący bądź co bądź na uwagę. Najlepszym wreszcie dowodem wartości prac jego ludoznawczych jest mianowanie go członkiem komisji antropologicznej Akademji Umiejętności w Krakowie, zaraz po ogłoszeniu najpierwszych prac ś. p. Siarkowskiego. Był to jedyny zaszczyt, jakim go obdarzyło za życia społeczeństwo w uznaniu zasług jego na polu nauki, dla której pracował długo i wytrwale.

Ma jednak dla nas ś. p. Siarkowski swoje znaczenie jeszcze z innej strony. Posiadał bowiem to, czem u nas szczególniej mało kto poszczycić się może, — charakter. Cecha ta, która wywołała u niego poczucie obowiązków, jakie ma każdy do spełnienia (a spełniał on je gorliwie), jest wielce charakterystyczna i znamienna. Człowiek, zagrzebany przez długie lata na wsi, potrafił dowieść, ile w zaciszu można zdziałać, jeśli się tylko chce i wie, iż na życiu ludzkiem ciąży wiele powinności. Wielu nas jest — pytamy — którzy pojmują tak, jak on, życie?

Stanisław Zdziarski.

Na temat poezji.

Przez dwa wieczory czwartkowe toczył się w „Związku naukowo-literackim“ spór o to, czy można mówić o postępie w poezji, czy nie. Podkładem dyskusji był wygłoszony niedawno odczyt p. Kasprowicza o poezji w XIX stuleciu. Streszczając ten odczyt w „Tygodniu“ *) zaznaczyłem na końcu, że mógł on podobać się tym, którzy stoją na tem samem stanowisku, a przekonać tę ogromną większość, która zawsze czeka na to, żeby ją o czemś przekonano. Pisząc to, miałem zamiar mimochodem zaznaczyć niejako, że są ludzie, którzy inaczej zapatrują się na te sprawy. To też gdy zapowiedzianą została dyskusja nad odczytem, spodziewałem się, że znajdzie się więcej takich niegodzących się na to, co mówił p. Kasprowicz. Tymczasem zasadniczo żaden z mówców nie zaatakował stanowiska p. Kasprowicza i wszyscy bez oporu pozwolili się od razu postawić tam, gdzie on stanął. Co więcej, nie zaprotestowano przeciwko metodzie prelegenta, a nawet w przeprowadzeniu myśli godzono się z nim; i tylko tu i ówdzie zaoponował ten i ów przeciwko jakiemuś słowu, zażądał definicji i cofnął się, otrzymawszy wyjaśnienie jednej nieznanej zapomocą drugiej. Po za tem były to wszystko tylko próby zastosowania teorji z innych dziedzin do literatury, rozgowor o wszystkiem, prócz poezji.

Pierwszy powód tego jest jasny. Oto p. Kasprowicz pokłócił się przedewszystkiem ze swojem zadaniem. Miał on pokazać co wiek XIX wniósł do poezji, a tymczasem usiłował pokazać, czego on nie wniósł. W ten sposób zadanie sprowadzonem zostało do zera, bo przecież z góry wykluczonem jest wyczerpanie wszystkiego, czego gdzieś nie ma; wystarczy powiedzieć, że to jest i tamto, a po za tem niczego niema. Tak też zrobił i p. Kasprowicz.

Wyeliminował więc przedewszystkiem jako nie-poezję, oprócz wierszoróbstwa, (co się samo przez się rozumie) wszystko, co nie nadawało się mu do teorji o braku postępu w poezji. Przypuszczalnej opozycji przeciwko temu usiłował zaś zamknąć usta tem, że eliminuje wszystko

*) Nr. 10 z marca 1902.

co na sobie nosi cechę użyteczności. No i któżby wobec tego śmiał się sprzeciwić? Chyba jakiś gruboskórny użytecznik.

Potem powiedział, że za poezję uważa tylko to, w czem duch ludzki zbliża się do absolutu, dąży do zlania się ze swoim bóstwem. Nie objaśniwszy nijak co pod absolutem rozumie, lub jak jak to przynajmniej na czemś konkretnem sam odczuwa, powiedział następnie, że w Mahabharacie jest to samo co w Homerze, w Fauście co było w Hamlecie, że w tych a tych dawniejszych poetach jest to samo, co w tych a tych nowszych i to zapełniło cały odczyt. Którzy to są ci poeci, to czytelnicy „Tygodnia“ wiedzą ze streszczenia odczytu. To zresztą jest obojętne, bo o całym szeregu innych możnaby jeszcze mówić i z powodzeniem wykazywać między nimi cechy pokrewne, na dowód że „wszystko to już było“. Tych było już dość na pięciokwadransowy odczyt, bo tego chyba że nowych form wiersza nie wynaleziono w XIX stuleciu, nikt chyba nie może traktować jako argumentu na serjo.

Otóż przedewszystkiem zastrzedz się należy przeciwko eliminowaniu czegokolwiek, choćby to coś miało nawet na sobie cechę użyteczności. Pomijając już fakt, że największe dzieła były częstokroć rezultatem zupełnie utylitarnych pobudek, powinno się było uwzględnić to, że gdyby wśród tych dzieł było jedno, w którem znajdowałoby się coś, czego w innem nie było, nie możnaby już powiedzieć, że absolutnie niema nic nowego. Mam tu na myśli rzeczy, należące do ducha, nie formy poezji. A ewolucja zapatrywań na zagadki bytu, począwszy od najprymitywniejszych wierzeń, fetyszyzmu, wielobóstwa do monoteizmu i filozofij, coraz to bardziej pozbawicnych sztucznych form, cudowności, coraz jednoliciej i realniej tłómaczących zjawiska! Czyż to nie postęp, że co wczoraj jeszcze było dziwem tajemniczym, dziś, rozpadłszy się na realne pierwiastki, przestało nim być, a natomiast zrobiło miejsce nowemu dziwowi, bardziej tajemniczemu, bo głębiej pod nim ukrytemu?

Albo weźmy wprost fakt różnicowania się życia i form jego. Czyż idące w ślad za tem różnicowanie i mnożenie się wrażeń i środków poetycznych nie należy do rozwoju. Może p. Kasprowicz powiedzieć, że obawa śmierci człowieka jadącego okrętem da się sprowadzić do tej samej, jaką odczuwa ktoś wobec pierwszego lepszego niebezpieczeństwa na lądzie, i nie potrzeba było wynalazku żeglugi. Dobrze, ale ta trwoga okrętowa wprowadza pierwiastki, których przed żeglugą absolutnie nie było, a które potem wytworzyły cały nowy świat wrażeń i obrazów. A jeżeli p. Kasprowicz powiada, że poezja ma być wyrazem dążenia duszy do połączenia się z absolutem i wyzwolenia z form przypadkowych życia, to chyba sama logika powinnaby powiedzieć, że tych pogardzonych tak przezeń form potrzeba, aby wyzwalanie miało się na czem zaznaczyć. Zresztą samo zbliżanie się do tego absolutu, uważane przez p. Kasprowicza za jedyny pierwiastek poezji zawiera w sobie postulat rozwoju.

Wreszcie gdyby p. Kasprowicz wniknął był bezstronnie choćby w tę współczesną poezję, do której się sam teraz przyznaje, toby był dostrzegł w niej ewolucję i postęp w trakcie samego XIX stulecia. Matuszewski*) zastanawiając się nad najnowszą poezją powiada, że romantycy operowali uczuciami, a modernizm rozkłada je już na nastroje; a więc jest różnicowanie i rozwój, w samej tej sztuce, która, jak p. Kasprowicz, dąży do absolutu, do połączenia się ze swem źródłem.

Oto kilka takich zaznaczeń, że nawet ze stanowiska takiego, jakie zajął sam prelegent to, co powiedział nie da się utrzymać, zaznaczając to jednak stwierdzam, że sam nie stoję na tem stanowisku. Ale czyż stojąc na niem można było setki takich rzeczy przeoczyć, tylko dzięki niedostatecznemu przygotowaniu się do odczytu, brakowi czasu itp. Nie, jest pewna logika i konsekwentna metoda w tem abstrahowaniu od życia i uciekaniu do absolutu. Jest to konsekwencja taka, jakąby przyznać trzeba *sui generis* zoologowi, któryby powiedział: „Zwierzętami nazywam wszystko, co się rusza z miejsca na miejsce, wszystko inne jest roślina lub kamień. Ponieważ zaś w tem, co się rusza, nogi, skrzydła lub pletwy są tylko rozmaite formy jednych i tych samych organów, więc właściwie nie ma postępu od płazów aż do człowieka“.

Jeden z mówców zapytał p. Kasprowicza, co rozumie pod dążeniem do absolutu. Odpowiedział mu na to, że to jest rzecz indywidualna, osobista, że on to, jak każdy na swój sposób czuje. Na to interpelant się zgodził. Nie żądam, ażeby był dał definicję absolutu, bóstwa, pan-

---

*) „Słowacki i nowa sztuka (modernizm)“.

teizmu, wędrówki dusz i innych zgalwanizowanych wierzeń przeszłości, ale niechby był na czemś konkretnem pokazał, jak to mniej więcej rozumie, czy choćby odczuwa.

Skąd to pochodzi? Oto, że p. Kasprowicz, a za nim i wszyscy mówcy mówili, że się tak wyrażę, „z pod poezji". Aby widzieć w czemś jakąś ewolucję na to trzeba mieć własne poczucie dążenia poza to, co już było. Tylko w ten sposób można skonstatować, czy coś gdzieś odsuwa się odeń, czy się zbliża. Tylko z takiego własnego punktu widzenia można odczuwać nieskończoność wstecz i naprzód. Tylko z takiego punktu można kolejne przewagi — raz duchowego raz fizycznego pierwiastka — uważać za powrotne fale przypływu lub odpływu, z których każda coś nowego przynosi. Gdy się tego nie ma, wówczas musi się stanąć na jakimś historycznym, cudzym gruncie, z którego widzi się zawsze jeden i ten sam horyzont.

Tak było i z p. Kasprowiczem. Nie mając w odczycie własnego drogowskazu, postąpił jak wszyscy ci, których dopiero literatura uczy poezji. Stanął na gruncie cudzym i spojrzał w przeszłość, w której znalazł materjał do porównań. Ale podczas gdy historykom literatury wystarcza, gdy powiedzą, że to bardziej zbliża się do tego, a to do tamtego, p. Kasprowiczowi jako „poecie" nie wypadało się przyznać że że z nim tak się dzieje, jak z nimi. On musiał sobie wytworzyć podstawę, rację bytu, jako poeta, jemu potrzeba było oprzeć się na jakiejś teorji, a ponieważ z takiego cudzego gruntu innej wytworzyć nie można, więc wyszukał tę, że poezja jest zawsze ta sama. W ten sposób za jednym zamachem odparł i zarzut nieoryginalności u siebie i zanegował możliwość jej u wszystkich, którzyby potem chcieli coś nowego powiedzieć.

Bo w istocie nawet w wyborze najnowszej drogi nie był p. Kasprowicz oryginalnym. Ci, którzy u nas zrywali z naturalizmem dlatego, że chcieli coś powiedzieć, co im się wydało w naturalizmie niewypowiedzialnem, zwolennicy modernizmu twórcy jego teorji, powyszukiwawszy sami dla nich duchowych ojców (u nas w Norwidzie, Słowackim z epoki mistycyzmu), pchnęli i p. Kasprowicza na tę samą drogę. Wprawdzie odmawia on t. zw. „szkole krakowskiej" prawa do tego, jakoby ona stworzyła u nas ową „niezmienną poezję", której kapłanem i on się dziś mieni, ale w istocie dopiero, gdy Przybyszewski proklamował p. Kasprowicza synem ziemi, stał on się otwartym modernistą. Zanegował już dawniej swoje upodobania poetyckie i przedtem już próbował różnych instrumentów, ale było to tylko łamanie się z sobą i z formalną stroną poezji. Przecież, gdyby pierwiastki jego twórczości były identyczne z poezją np. „Króla Ducha", to p. Kasprowicz, który niezawodnie już dawniej znać go musiał, powinienby był sam pierwej wpaść na to, niż „krakowiacy". Dawniej szukał dróg własnych, a gdy oni mu wskazali drogę swoją, utartą, on poszedł na nią, a teraz gdy ona zaczyna już tworzyć koło zamknięte, głosi światu, że poza niem nie ma poezji.

To też nie miał p. Kasprowicz racji, gdy powiedział, że chciał w odczycie „mówiąc o rzeczach nieprzemijających, stanąć od nich w większem oddaleniu niż pięcio lub dziesięciolecia". Nie — p. Kasprowicz mógłby to był może powiedzieć dawniej, kiedy szukał dróg swych w przestrzeni. Dziś on już mówi o poezji nie „z oddalenia pięcio lub dziesięciolecia", lecz z oddalenia jednego dnia, godziny, z tej jednej chwili w wielkim pochodzie poezji, w której mija nas właśnie grupka, skupiona pod sztandarem modernistycznego absolutu.

Stanisław Womela.

ANARCHIZM WSPÓŁCZESNY.

(KULCZYCKI LUDWIK: Anarchizm współczesny, st. XVI, 331. Lwów 1902. Polskie Towarzystwo Nakładowe.)

AUTOREFERAT.

Anarchizm zarówno jako teorja i jako ruch społeczny jest bardzo mało znany nie tylko szerszej publiczności, lecz także i wielu tym, którzy nawet specjalnie zajmują się kwestjami społecznemi.

W czasach ostatnich anarchizm w niektórych państwach rozwinął się dość silnie, szczególnie zaś we Włoszech i Hiszpanji.

Dzieł o anarchizmie w polskiej literaturze dotychczas nie było zupełnie, w obcych zaś jest ich nie wiele, jeżeli pominąć prace samych anarchistów napisane w celu pozyskania zwolenników.

Literatura niemiecka posiada kilka prac większych o anarchizmie, mianowicie najważniejsze z nich są: Zenkera i Eltzbachera. Słabą ich jednak stroną jest to, że streszczają tylko doktryny anarchistów, nie badając wcale źródeł prądów antypaństwowych. Prace powyższe nie uwzględniają też całej najnowszej literatury anarchistycznej.

Autor postawił sobie za zadanie wypełnić lukę w literaturze o anarchizmie.

Rozpatrywana przez nas praca, dzieli się na wstęp i pięć części.

We wstępie autor zaznacza, że początki kierunków rewolucyjnych anty-państwowych widoczne są jeszcze w różnych sektach chrześcijańskich; zupełnej określoności nabrały one jednak dopiero w końcu XVIII. wieku. Anarchizm, jako doktryna, powstać mógł tylko wówczas, kiedy, skutkiem szybko po sobie następujących zmian w ustroju państwowym, nie zadawalających wielu, zrodziło się rozczarowanie w ogóle do wszelkiego państwa, wszelkich praw i rządów. Godwin był pierwszym anarchistą, który teorję tę obszernie rozwinął i uzasadnił w 1793 roku w swem znanem dziele.. Krytykując w zasadzie wszelkie prawa, rządy itp. Godwin nie wyprowadził z krytyki tej wszystkich wniosków praktycznych i w ustroju społecznym, przez siebie zalecanym, pozostawił niektóre instytucje prawno państwowe.

Pierwszy okres w rozwoju anarchizmu datuje się od wyjścia wzmiankowanego dzieła Godwina do początków działalności Bakunina w Europie zachodniej, po jego ucieczce z Syberji. Anarchizm w tym okresie jest doktryną jeszcze nie wykończoną. Proudhon, jak i Godwin, krytykuje państwo, ale nie chce w przyszłem społeczeństwie znieść wszystkich instytucji państwowych. Właściwie powstaje on tylko przeciwko organizacji państwowej, jak się wyraża z góry na dół; i zaleca inną, będącą jej przeciwieństwem: z dołu do góry. Proudhon pozostawia instytucje prawodawcze, a nawet centralne władze administracyjne. Chce on tylko, aby wszystkie te instytucje opierały się na samorządzie gmin, miast, prowincij. Proudhon był federalistą.

Niemiecki anarchista Stirner występuje nie tylko przeciwko rządom, państwom, ale i przeciwko despotyczności idej, które opanowują ludzi. Zdaniem jego, trzeba się wyzwolić z panowania wszelkich abstrakcji, jakiemi są: ojczyzna, ludzkość, a nawet człowiek. Każdy powinien robić to, co chce, nie krępując się żadnemi więzami; wszelkie dodatnie postępki powinny wyniknąć z egoizmu, a nie z nakazu moralności abstrakcyjnej.

Godwin, Proudhon i Stirner nie byli komunistami, lecz indywidualistami; pierwsi dwaj byli zwolennikami pokojowych środków walki, trzeci rewolucji.

Anarchizm w pierwszym okresie swego rozwoju nie był prądem społecznym, ogarniającym szersze sfery, lecz tylko wyrazem poglądów niektórych, nielicznych zresztą myślicieli.

Od chwili wystąpienia na arenę działalności Bakunina anarchizm staje się prądem szerszym, wtedy też tworzy się stronnictwo anarchistyczne. Bakunin był jedną z najpotężniejszych indywidualności, działających w XIX. wieku.

Autor w ogólnych zarysach opowiada życie tego wielkiego agitatora, pełne przygód i treści. Bakunin rozwinął dalej teorję anarchizmu: dzięki niemu z indywidualistycznego stał się on kolektywistycznym.

Bakunin odrzuca własność prywatną i żąda wspólnych narzędzi produkcji.

Znaczną część pism tego anarchisty wypełniają ataki przeciwko teologji i metafizyce. Usiłował on wykazać zdaniem jego ujemny wpływ religji na społeczeństwo.

Bakunin zwalczał socjalną-demokrację, zarzucając jej brak instynktów rewolucyjnych i doktrynerstwo. Co do środków walki był on krańcowym rewolucjonistą i przypuszczał, że masy są zawsze skłonne do gwałtownych wybuchów i że zadaniem spisków jest umożliwić te ostatnie i nadać im pewien kierunek. Co do teroru Bakunin był mu początkowo przeciwny, z czasem wszakże stał się jego obrońcą, a nawet i zwolennikiem, zawsze jednak główną nadzieję opierał na ruchach masowych.

Bakunin nie miał czasu wśród ciągłych konspiracji na systematyczną pracę teoretyczną; ideałem jego był ustrój anarchistyczny, oparty na zasadach dobrowolnej federacji jednostek w gminy, gmin w okręgi i t. p. W szczegółach nie rozwinął on swych poglądów na przyszłe społeczeństwo.

Zrobili to jego następcy szczególniej Guillaume. Ten ostatni, opisawszy szczegółowo organizację przyszłego społeczeństwa, zatrzymał w niej wiele pierwiastków władzy i państwa, tak, iż społeczeństwo, które wystawił, jako swój ideał, nie było, ściśle mówiąc, anarchistycznem.

Autor zestawił dalej poglądy anarchistów z teorją Ławrowa o przyszłej organizacji społecznej.

(Dok. nast.) *Ludwik Kulczycki.*

3)

Słowianie w Niemczech.

(DIE SLAWEN IN DEUTSCHLAND)

Napisał Dr. Franz Tetzner. — Omówił Kazimierz Mokłowski.

(POŁABIANIE, SŁOWIŃCY, KASZUBI, MAZURZY i POLACY)

Zaczynamy od wygasłego już zupełnie plemienia Połabian. Niegdyś potężne, wielkie, pierwsze z północno-słowiańskich, co chrześcijaństwo przyjęło, a dziś, prócz nazw geograficznych, starego układu wsi, trochę zwyczajów odrębnych i garści słów, zapisanych przypadkiem, nie pozostało po nich nic. — A jednak, jeśli nie mylą z pomroki dziejów wyłaniające się domysły, kto wie, czy Polska nie zawdzięcza im swoich pierwocin ustroju politycznego, kto wie, czy organizacja terytorjalna, jaką jest opole, stamtąd swojego źródliska nie bierze, a może, jeśli przypuszczenia prof. Piekosińskiego są prawdziwe, to i szlachta polska w swojej pierwszej wojskowej formacji stamtąd przychodzi i na wzór Karola Wielkiego państwo nad Gopłem od Kruświcy i Kniezna zakłada. — W każdym razie za starszych niejako naszych braci plemiennych uważać ich winniśmy. Dziś Połabian już niema. Jeszcze w r. 1783 pisze Pfennig: „Połabiańskie narzecze zachowało się tylko w lüneburskich okręgach Dannenberg, Licho i Wustrow (Bystrów)“. Zebrał je pastor Hemnig, spisał szereg słów uczony chłop, Jan Parum Schulze. Dziś, najprawdopodobniej, nie zostało z języka nic, może chyba towarzystwo literackie im. Jabłonowskiego w Lipsku, które wyznaczyło na rok 1901 nagrodę za najlepszą pracę o Połabianach, wynajdzie jeszcze jaki szczątek językowy*). Połabianie zetknęli się z potężnem państwem frankońskiem Karola Wielkiego, jako jego sojusznicy w walce przeciw Sasom. Karol Wielki kilkakrotnie zwiedzał ich krainę, a urok jego osoby musiał być tak

*) Towarzystwo to założone zostało w 1768 roku, przez księcia Aleksandra Prus Jabłonowskiego, i obdarowane kapitałem, z którego płyną nagrody pieniężne i medale złote za prace z dziedziny historji i nauk przyrodniczych.

wielki, że nietylko pozostawił w imieniu swojem, jak niegdyś Cezar Germanom, tytuł ogólny władcy „kral“ (Karol) król, korol, ale zapewne cała późniejsza trucizna germanizacyjna z tych czasów wiodła swój początek. Trzeba zważyć, że późniejsze Niemcy, z którymi poznawaliśmy się i my i Pomorze i Litwa i Czechy, to była surowa barbarzyńska ćma w porównaniu z olbrzymią siłą cywilizacyjną Karolowego państwa, które zresztą miało do dyspozycji nieskończenie subtelny artystycznie i obyczajowo żywioł celtycki w dzisiejszej Francji. Tem się tłumaczy, dlaczego Połabianie bardzo wcześnie, zdaje się, brali pełną dłonią wyrazy niemiecko - frankońskie i wcielali je do swego skarbca językowego. Z zależności niemieckiej nie wydostali się zaś nigdy. Niemcy jak kleszcze zamykały je w sobie, dusiły, aż wreszcie zadusiły. Dziś, jako najważniejszy szczątek dawnych czasów, zasługuje na uwagę sam układ wsi, niezmiernie starożytny. Opiera się wieś połabiańska kształtem swoim o niezliczone osady palowe, któremi zasianą jest północno-zachodnia słowiańszczyzna. — Okrągły majdan z gajem (dawniej świętym) w pośrodku, ze świątynią i domem gminnym, odpowiada dokładnie grodziszczom okrągłym, sztucznie na palach usypanym, jakie Virchov miał sposobność zbadać. Wokoło grodziszcza, a we wsi połabiańskiej, wokoło majdanu, idą promienisto domy szczytami obrócone do majdanu, a ztąd zupełnie tak, jak n. p. w Retrze, szły ulice na palach z okrągłego grodziszcza. Pole, otaczające Majdan, dawniej zwało się opole, później „koreiz“ (z niemieckiego „kreis“). Te wsie „okrąglaki“, wyrosłe z bagnistej formacji osad palowych, stanowią jeden z najciekawszych okazów kultury północno-słowiańskiej. Z dawnych czasów pozostała też jeszcze część palu i pomostu palowego, który przedstawia słup dębowy wbity w ziemię z poprzeczką olchową. — Jeszcze w 17 i w 18 stuleciu, obchodzono uroczyście święto wbijania takiego Pala. Chaty połabiańskie wyrosłe na tym samym wątku palowym, jaki istniał u Niemców, Franków i Sasów, przedstawiają sobą typ konstrukcji palowej, tak doskonale w ryglówce (murze pruskim) się wyrażający. — Stroje nie pozostawiły na sobie nic, coby słowiańszczyznę przypominało. Moda ciągle przynosiła ze sobą łatwo się przyjmujące miejskie ubiory. — Natomiast w zwyczajach istnieje ślad słowiańskich czasów. — Zwłaszcza tańczenie gości z narzeczoną i rzucanie po tańcu „cwancygiera“, lub talara na miskę, to rzecz, jakby z dzisiejszego Podhala wzięta.

Z piosenek autentycznych zachowała się jedna wraz z melodją, którą warto, aby się nasze które Towarzystwo spiewackie nauczyło.

Słynna piosenka ta, znana przez Lessinga i Goethego, brzmi po połabiańsku: „Kati mie zeninka bayt', Telka mie Zeninka byt', Telka reci woupak ka niemu ka dwemu, Jos gis wiltya gresna zena, ne mik zeninka byt', Jos ne mik zeninka byt'. (Kto ma żoninką mą być, Sowa żoninką ma być, sowa rzecze znowu do nich do dwojga, Jam jest wielce grzeszna (brzydka) żena (kobieta), nie mogę żoninką być, ja nie mogę zoninką być“. W piosence tej jedynym śladem zniemczenia jest wyraz telka, zepsuty z niemieckiego die Eule. Daleko więcej jednak mieści się ich w ojczenaszu, który brzmi tak: Nos Eita (później *voder*), to toi jis wo nebeseu, sotu *vardaj* (niem. werde) tuija Jaima, tuija *rik* (Reich) *komaj* (komme), tuija wola ma so, kok va nebesen tok kak na zemi, nosa visedoniesna (powszednia), skaibo, (skiba chleba) doj nam dans, un witodaj nam nasi grechy, kok mai witodajime nosim gresnaram, ni *bringoj* (bringen) nas na *vaorsuk'og* (Versuchung - pokuszenie), tai *losoj* (lasse odpuść) nos wid wisokag zcheudak (wszelakiego złego)“. Wśród tak niedługiej modlitwy 7 wyrazów zepsutych, a bezpośrednio z niemieckiego wziętych wskazuje, że już w 17-stem stuleciu, germanizacja ogromnie postąpiła. Nic dziwnego, że dziś śladu nie ma z języka niezmiernie starożytnego w swoim układzie, który zamiast rozwijać się nasiąkał jedynie niemieczczyzną.

O Słowińcach, Pomorzanach pisaliśmy już w „Tygodniu“. — Pan Tetzner nie wiele podaje nowych szczegółów. Stwierdza, że język Słowińców podobny jest do polskiego, i że Słowińcy często w Lęborku, występują jako tłumacze między Polakami i Niemcami, a najciekawsze to to, że używają często języka słowińskiego na to „aby dla Niemców być niezrozumiałymi“. Ciekawą jest jedna pieśń, którą jakiś Słowiniec z wojska przywiózł w r. 1848, z pod pamiętnej bitwą Polaków z Prusakami, Wrześni.

I tę pieśń polską z pod Wrześni, którą Kluk przywiózł do zapadłych błot pomorskich, spiewają do dziś Słowińcy najchętniej i najczęściej. W pamiętnym roku 1848 zaleciały hen nad błota

nad gardziańskie echa rewolucji i wywołały zaburzenie w Klukach. W 1848 Zieleziny nie chciały płacić podatków. W r. 1849 Klukowie Smołdzewia i z Zielezinów odmówili płacenia datków państwowych na drogi. Przyszło wojsko z jednym oficerem, 7-miu podoficerami i 43 żołnierzami. Słowińcy nie chcieli płacić, tłumacząc, że nie mają tej drogi. Wzięto im 74 owiec i wiele świń i sprzedano. Jeden ze Słowińców zawołał do właściciela dóbr von Bandemera. „Jeśli nas król obrabuje z jednej strony, a ci panowie z drugiej, to nie może nic w chacie zostać“. Za to dostał uderzenie kolbą i szablą w łeb i z tem poszedł do domu, rozmyślać nad państwową pruską cywilizacją i jej dobrodziejstwami. Oto epizod z życia zamierającej garstki Pomorzan, liczącej jak powiada Tetzner najwyżej 200 głów, zdolnych rozmówić się we własnym języku.

Pozostają Kaszubowie katolicy, w istocie swojej dziś już Polacy. Firks podaje ich liczbę na 55,539, to jest tych, którzy się na liście spisowej, jako Kaszubi zapisali. Dr. Łęgowski liczy ich w całości na 137.000. Z tego widać, że się więcej niż połowa za Polaków uważa. — Najdawniejszą historją związani z Pomorzem, później z Polską, stanowią co do charakteru jedno z najciekawszych plemion w narodzie polskim.

Niestety z północnego zachodu topnieje granica Kaszubska, ustępując miejsca Niemcom. — Od morza północnego zjada Niemiec okręg po okregu. A jednak Kaszubi stanowią dla wyborów do parlamentu, najpewniejszych wyborców dla posłów polskich. — Układem wsi, narzędziami rolniczemi podobni są Kaszubi na wskróś dó Polaków.

Jeśli o Kaszubach można mówić, jako o odmiennej grupie ludowej, to Mazurzy pruscy stanowią już ze wszystkiem znany typ mazowiecki ludowy w Polsce. Jedyną różnicą jaka dzieli Mazurów pruskich od reszty Mazowsza, to brak wpływów narodowej kultury polskiej, która na chłopów Mazowsza nadwiślańskiego działała i dziś działa. W Prusach Wschodnich Mazur utrzymał polskość swoją, jako chłop, z chwilą kiedy przestaje być chłopem, znika jego polskość, a zaczyna się „Niemiec“. Takim „Niemcem“ jest naprzykład literat niemiecki, syn chłopa mazurskiego Fritz Skowronek. A jeśli topnienie Mazowsza, nie idzie tak szybko jak na Pomorzu, to powodem tego brak przemysłu, a więc silne utrzymywanie prastarych urządzeń gospodarczych. Od Zachodu, gdzie ztyka się z Mazurami ludność polska, wzrasta świadomość narodowa i przychylność do nas, w innych okolicach piszą nawet „poematy“ patrjotyczno-pruskie, skierowane przeciw Polsce. Po za tem chłop jest taki nasz we wszystkiem taki polski, w całości swego wiejskiego życia, że jeśli kiedyś los przeklętą granicę głupotą i niedołęstwem naszych przodków, wobec „Prus wschodnich królewskich“ nakreśloną, zamaże, dostaniemy blisko ćwierć miljona tęgiej, zdolnej, pracowitej ludności, która napewno się duszą całą do kultury naszej przywiąże. — Wszak niektórzy nasi uczeni, jak Kętrzyński Wojciech naprzykład, to są rodzeni pruscy Mazurzy. — Wprawdzie są protestantami, Polska jest dość obszerna, aby w niej było miejsce dla ludzi o najzmaitszej wierze.

Pan Tetzner kończy na Polakach. — Kiedy przy tamtych plemionach pełno jest obliczeń, kiedy się stopią, kiedy się zleją z wielką niemiecką ojczyzną, to o „Polakach pisze, że obszar polski językowy i wysoki rozwój życia duchowego przeszkadzają u Polaków, więcej niż u jakiego innego bałtyckiego lub słowiańskiego ludu, przedstawieniu w krótkości zwyczajów i obyczajów ludu“. Polska narodowa literatura przyłączyła się do światowej literatury, a polscy uczeni badacze i artyści są czynni ze skutkiem na wszystkich polach“ (str. 483). — I oto jest nieświadomie zaznaczony powód zanikania tamtych plemionek, a podnoszenia się kultury polskiej. Współczesny człowiek pragnie i dąży do współczesnej formy życia.

Język, który mu daje tylko to co się do rybactwa, jak u Kurów i Słowińców, lub do rolnictwa odnosi, jak u Litwinów, Mazurów i Serbów, musi zanikać.

Natomiast polski język zawierając w sobie wyrazy na najodleglejsze współczesne pojęcia, nie tylko nie marnieje obecnie, ale owszem oczyszcza się i doskonali. Dlatego plemiona słowiańskie, które nie zaginą pod Prusakiem, będą musiały dążyć do zlania się duchowego z Polską. I to życie duchowe jest ważniejsze, aniżeli odrębność zamykająca się w mundurze sokolim i stroju krakowskim, które pan Tetzner jako odznakę polskości na rycinie umieszcza. Parę bowiem kartek niżej potem daje wizerunek Bamberki z pod Po-

znania, która strojem przypomina szwabkę, a przecież jest dziś Polką, jak wszystkie Bambry. — Te Bambry to zamożne chłopy i niejeden szlachcic — inteligent poznański postawił się na nogi, ożenkiem z patrjotycznemi Bamberkami.

Miło nam wprawdzie i z danych, które nam p. Tetzner udziela, poznać braci naszych, w budowaniu chat, w stroju, a nawet w pysznym wyrazie twarzy dwóch muzykantów z Buku, których wizerunek autor podaje. Natomiast nie spełni się pragnienie, „że należy oczekiwać, że i ta część słowiańszczyzny wnet się radośnie(!) i dobrze poczuje pod niemieckiem berłem (zwłaszcza tem w ręku Koralewskiego z Wrześni), jak Litwini, Łotysze, Prusacy i Mazurzy, Połabianie i Słowińcy, Serbowie i wszyscy ci, którzy dzisiaj wprawdzie swego języka ojczystego zapomnieli, ale natomiast wszystkie inne dobrodziejstwa niemieckiego „Reichu“ odziedziczyli“.—Taki bowiem nam raj w niebie niemieckim obiecuje p. Tetzner. Zbiera ochota... w twarz plunąć p. Tetznerowi, lecz po namyśle chęć odpada. Zdania powyższe objawiają sobą taką ordynarność i potworność kultury umysłowej, moralnej i obyczajowej, że chyba jakiś obłęd kazałby nam naszą własną kulturę narodową mieniać za stan moralny i umysłowy narodu, który nie czuje zupełnie, że „polityka gwałtu i przemocy“ jest niegodną współczesnego człowieka. I to tem jest dziwniejsze, że p. Kulischer w niemieckiem czasopiśmie „Ethnografische Zeitung“ w naukowy sposób skwalifikował moralność, padającą z ust rozmaitych Niemców, jako moralność pierwotnych hord rozmaitego stopnia kończąc na mrowiskach. A poza tem życie towarzyskie mieszczańskie i chłopskie, płaskie i ordynarne, język ciężki „kancelaryjny“, nad którym się już Nietsche pastwił. W życiu politycznem gwałt wobec słabszych, bizantyńska uległość wobec mocniejszych, rozpasanie militaryzmu.

Tfy na takie „dobrodziejstwa kultury niemieckiego Reichu“.

Bogu dziękować należy w interesie cywilizacji światowej, że przecież i wielka część ludu niemieckiego z „dobrodziejstwami kultury reichowej“ się nie godzi.

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Po każdym takim objeździe wracał zmordowany, rzucał się na starą, wytartą sofę w swojej kwaterze w oficynie i przymykał powieki, ale nie mógł zasnąć. Przed oczyma jego snuły się dawne obrazy i zabliźnione rany tryskały krwią gorącą. A dalej, powracały mu do myśli inne jeszcze wspomnienia. On także niegdyś był młody i kochał. Kochał raz jeden na śmierć i życie, a nigdy tego nie wypowiedział, chyba modlitewnym szeptem, przy martwych zwłokach umiłowanej.

Była to tajemnica Berwicza. Smutna była jego miłość. Pokochał pannę, do której oczu wznieść nie mógł. Ona też nigdy nie domyśliła się jego uczuć. Nie dziw, kochała innego, a ten inny zasłynął potem jako Brzeszcz w dziejach powstania. Widział ją narzeczoną, żoną, matką, widział towarzyszką bohatera, wdową po męczenniku, a kochał zawsze jednak, aż do śmierci i po śmierci. Rodzinę jej uważał za własną; zrósł się z nią tak zupełnie, iż poza Malińcami nic innego nie widział na świecie.

Teraz, przy urzędowych stosunkach z Ignasiem, nie myślał o tem, co dalej będzie, co mu wypada uczynić — cierpiał...

VI.

Objazdy gospodarskie, konna jazda z z Jadwinią, nie zajmowały Ignasiowi dni całych. Było wiele godzin, których sobie zapełnić nie umiał,

szczególniej też, gdy zdarzył się dzień dżdżysty. Chodził wówczas od okna do okna, brał książkę, przenosił się na rozmaite fotele i kanapki, poziewał i widać było, że się nudzi z całego serca.

W zapracowanym domu, on jeden był bezczynny. Pani Teresa jak zwykle w swoim pokoju, załatwiała rozległą korespondencję, dawała rozporządzenia, przyjmowała mnóstwo interesentów. Ludzie schodzili się do niej, o kilka mil w około. prosząc o lekarstwo w chorobie, o radę w kłopocie, o pomoc w nieszczęściu, a niekiedy nawet, o rozsądzenie sporu; a ona umiała wniknąć w położenie każdego. Marynia zajmowała się Jadwinią, dawała jej lekcje muzyki, obcych języków, czytywała z nią.

Z salonu Ignaś słyszał w przyległym gabinecie ich ożywione głosy. Tak było do obiadu. Potem siostry szły do wielkiej izby na folwarku, otoczonej ogródkiem, gdzie pod dozorem starej Paraski, dziewczyny do pomocy dodanej, bawiły się dzieci, których matki pracowały w polu. Panienki przynosiły im owoce, bułki, zabawki, rozmawiały z niemi, bawiły się nawet, wymyślając im gry rozmaite.

Do dworu niekiedy przez otwarte okna, dochodziły wesołe śmiechy, nad któremi czasem panował głos Maryni lub Jadzi, które coś opowiadały. Ignaś z niecierpliwiony mówił coś przez zęby. — Utrapienie. Bakalarnia czy co?

Dawniej, z Marynią wiekiem do niego zbliżoną, rozumieli się najlepiej. Teraz dawna poufałość ich znikła. To, co mówił, rzadko zajmowało siostrę. Ona zaś zamykała się w sobie. Spotykał tylko często jej oczy w siebie utkwione, a wówczas doznawał nieokreślonego uczucia, jakby urazy i wstydu zarazem, choć do urazy nie miał żadnego powodu, a nie uważał, by miał się czego wstydzić. Skończywszy zajęcie z dziećmi, Marynia często wychodziła na wieś.

Ignaś, który w czasie deszczu, spoglądał w okno znudzony, uważając jak krople wody spływały się na szybach, a na dziedzińcu drobne strumyki tworzyły kałuże, podpatrzył ją raz, jak zarzuciła chustkę na głowę, zawołała Burasa i szła trzymając w ręku koszyczek.

— Istna służąca szepnął, zgorszony.

Wybiegł za nią.

— Gdzież tak idziesz, zamęczysz się, zachorujesz.

Uśmiechnęła się tylko.

— Wiesz, żem do tego przyzwyczajona.

— Pewno do chorych?

Skinęła głową.

— Mogłabyś też kogo posłać.

— Ja umiem się z chorymi obchodzić, uczyłam się nawet tego w Warszawie.

Postąpiła krok naprzód, Ignaś zawahał się przez chwilę i wyrzekł:

— Pójdę z tobą.

Spójrzała na niego trochę zdziwiona, ale nic nie odrzekła.

Ignaś szedł przy niej. Czas jakiś trwało milczenie.

— Moja Maryniu, przerwał je wreszcie brat. Jakie wy tutaj dziwne życie prowadzicie.

— Tak znajdujesz...?

— Nietylko ja, tak znajdują wszyscy.

A nie odbierając odpowiedzi — zapytał znowu.

— Powiedz mi, czy ty się tu nie nudzisz!

— Nie.

— Szczególna rzecz. Ja bo przyznaję, nudzę się bardzo.

— Nie potrzebujesz mówić, widzimy to wszyscy.

— Najlepszy dowód, że tu nie zabawnie.

— Nie, to tylko dowód, że grasz w domu rolę gościa, którego nikt nie bawi, bo niema na to czasu.

— Otóż to z tym czasem, pracujecie tu jak prawdziwe wyrobnice.

Milczała.

— Czyż to potrzebne?

— Jeśli nam z tem dobrze.

I dodała po chwili.

— Rzecz to nie nowa. Wiesz przecież, że tak było zawsze.

— Prawda, ale dawniej ja byłem dzieckiem i wielu rzeczy nie rozumiałem. No naprzykład te wiejskie dzieci, które uczycie.

— Teraz jest tylko ochrona i pogadanka niedzielna.

— Czy z tego powodu nie macie kłopotu?

— O, kłopoty? kłopoty zdarzają się ciągle. Przywykliśmy. Robimy to co robić trzeba.

— Bo wam się tak chce.

Podniosła na niego oczy i teraz wyczytał w nich wyrzut wyraźny. Uczuł potrzebę zmiany rozmowy.

— Pojechałbym gdzie, wyrzekł po chwili, ale wasze sąsiedztwa nie zabawne.

— Teraz siewy, wszyscy tak zapracowani jak i my, uśmiechnęła się Marynia.

— A z moich przyjaciół żaden jeszcze nie wrócił do swego majątku. Wszyscy gdzieś bujają po świecie — dodał z westchnieniem. Mnie tylko mama nie wiem czemu sprowadziła.

— Mama chce, byś jaknajprędzej wziął się do gospodarstwa.

— Przecież jest Berwicz?

— Tak, ale on już stary. Ciężko mu. Skarży się, że wszystkiemu podołać nie może.

W głosie jej zadrgały miękie struny. I znowu zdawało się Ignasiowi, że dostrzegł wyrzut w jej oczach.

— Naturalnie. Berwicz należy do ludzi, co padną na stanowisku, ale z niego nie ustąpią.

— Widzę, że jest dla nas bardzo pożyteczny. A przecież baron Rońskí śmieje się z jego gospodarstwa.

— Roński! odparła z odcieniem lekceważenia. Cóż taki Roński może wiedzieć!

— Objął teraz majątek w naszem sąsiedztwie. Czy on tu nie bywa?

— Nie.

— Dziwne. To jeden z moich przyjaciół. Bogaty, przystojny, wykwintny. Wiesz Maryniu, że miałem pewien zamiar...

— Chcesz go zaprosić na polowanie?

— No tak, naprzód na polowanie. A potem, potem kto wie... myślałem....

Urwał i spoglądał na nią filuternie uśmiechnięty. Widząc jednak, że siostra nie zwraca na to uwagi, dodał:

— Zachwycił się twoją fotografją. O, nie on jeden. Jest jeszcze ktoś, który ujrzawszy ją, zaraz zaprosił się do mnie. Pomyślałem, że który z nich mógłby ci się podobać.

Była tak daleką od tego przypuszczenia, że aż zatrzymała się nagle.

— Mnie, zawołała.

— No cóż tak dziwnego. Przecież panny idą za mąż. I ty pewno nie myślisz zostać zakonnicą.

— O nie, odparła śmiejąc się, mam zbyt wiele zajęcia na świecie.

— Więc widzisz.

— Ale ja o małżeństwie także nie myślę.

Chciał żartować, ale Marynia była tak poważna, iż zapytał.

— Masz postanowienie zostać starą panną? czy co.

— Niemam żadnego postanowienia, tylko brak mi czasu na myślenie o rzeczach, które może nigdy się nie staną. Ot powiem ci krótko. Poszłabym za mąż tylko w takim razie, gdybym spotkała i pokochała człowieka, którego mogłabym szanować i przejść z nim przez życie ręka w rękę. Inaczej nigdy. Proszę cię więc nie swataj mnie, bo to napróżno. Mamy o wielu rzeczach zbyt różne pojęcia. A z tobą nie chciałabym się posprzeczać za nic w świecie. Przytem ja nie szanuję byle kogo.

Powiedziała to tak stanowczo, że Ignaś zrozumiał przymówkę zamkniętą w ostatnich słowach i nie wiedział sam, co odpowiedzieć.

Na szczęście dochodzili właśnie do chaty, na której progu stała pyzata dziewczyna, piastująć kilkomiesięczne dziecko. Buras czekał tu już na swoją panią, i łasił się do dziewczyny, jak dobry znajomy.

Marynia pożegnała brata, nie myśląc, by chciał na nią czekać. Zdziwiła się więc bardzo, gdy wychodząc zastała go przy progu.

Ignaś chciał z nią wreszcie pomówić na serjo. Zastanawiał się on także nad dziwnym stosunkiem, jaki zachodził pomiędzy nim a rodziną. W domach, które znał, brat starszy miał wszędzie głos decydujący w rzeczach tyczących się stosunków światowych, siostry zawsze zapytywały go o rady, stosowały się do wskazówek, zwłaszcza też siostry wychowane na wsi, którym przynosił wieści ze środowisk towarzyskich. W Malińcach działo się przeciwnie. Nietylko Jadwinia, ale i Marynia nie zwracała na niego uwagi, nie radziła się o nic. Tak, jak matka, każda z nich miała swój świat osobny, do którego znów on się nie mieszał.

Ach! zawołała Marynia — spostrzegłszy Ignasia. Czekałeś na mnie. Co za uprzejmość.

— To nie sama uprzejmość, ale powiedziałaś rzecz, która mnie zastanowiła i chciałem się zapytać.

— O co? Ja także chciałabym szczerze, serdecznie z tobą pomówić, jak niegdyś.

— Nawet gdybyśmy mieli przeciwne zdania — powiedziałaś przecież, — że nie chciałabyś się ze mną posprzeczać. To się przecież zdarza często pomiędzy rodzeństwem. Potem jeszcze milsza zgoda.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. „*Stanisław Wyspiański,* studjum literackie“, napisał Antoni Potocki. Nakładem Towarz. Wydawnicz. Lwów, 1902.

Z dotychczasowej literatury o Wyspiańskim książka ta jest najbardziej wyczerpującą. Na tle epoki współczesnej charakteryzuje p. Potocki postać niezwykłą twórcy „Wesela“, najpierw w ogólnych zarysach — jako malarza, a następnie szczegółowo — jako poety, począwszy od pierwszych dzieł jego „Legendy“ i dramatów greckich, a na „Weselu“ skończywszy. Z niesłabnącem zajęciem czyta się od początku do końca tę monografję, pisaną barwnie a z entuzjazmem, która podnosi i tłomaczy zalety, na wiele piękności umiejętne, właściwe rzuca oświetlenie, wady nieraz przeocza, wydobyć i przedstawić umie zasadniczo omawianej organizacji poetyckiej znamiona o linjach nieraz może „przerysowanych“, ale zawsze śmiałych i przeważnie wybornie uchwyconych. Są tu zapewne ustępy, twierdzenia, hypotezy, o ktore sprzeczać by się można z autorem. Zakwestjonować by można n. p., czy trafnie tłumaczy nam autor „spolszczenie się“, twórczości Wyspiańskiego, która w pięknie klasycznem najpierw wyłącznie rozkochana, dopiero mocą wniknięcia w ducha i umiłowania mowy polskiej (w „Klątwie“) polską stać się musiała. Możnaby zarzucić mu, że za mało krytycznie odnosi się do języka Wyspiańskiego (pod tym względem bliższym prawdy jest surowy sąd Chmielowskiego), lub, że zbyt pobieżnie omawia dzieła tej miary, co np. „Legion“ itp. Są to jednak usterki drobne, w porównaniu do wartości tej książki, która pod względem formy i treści zarówno, jest jednem z lepszych dzieł, jakie w ogóle najnowsza nasza krytyka impressyjna wydała, a do poznania i właściwego ocenienia i zrozumienia Wyspiańskiego wybitnym jest przyczynkiem, choćby przez to samo już tylko, że wbrew różnym krótkowidzom znaczenie jego twórczości, jako „pierwszego twórczego przeciwstawienia się poezji naszej romantyzmowi“ po raz pierwszy zasadniczo podnosi i motywuje. *A. Cybulski*

*

„*Antoni Van Dyck*“ przez Dra Jerzego Mycielskiego, prof. uniw. Jag. Z 20 ilustracjami. Kraków. Nakładem autora 1900, Praca ta, „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w pięćsetną rocznicę odnowienia jego wiekopomnej fundacji“ ofiarowana, nie przynosi nic prawie nowego nauce zagranicznej, daje tylko to, co nauka ta w ostatnich latach dwudziestu przyniosła nowego do poznania życia i twórczości wielkiego mistrza flamandzkiego. Monografja Dra Mycielskiego jest więc tylko sumiennem streszczeniem całej najnowszej literatury vandyckowskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej, pogłębionem osobistemi studjami dzieł mistrza, po różnych galerjach europejskich rozproszonych, a zwłaszcza zbiorowej tychże dzieł wystawy w r. 1899 w Amsterdamie urządzonej. Nowym jest w niej jedynie szczegół jeden, a mianowicie po raz pierwszy wciągnięcie utworów oryginalnych Van Dycka, albo innych z jego autentycznymi obrazami związanych, a w Polsce się znajdujących, do tej znanej dotąd całej jego produkcji. Dotyczy się to więc najpierw rysunku piórem według słynnego portretu księcia Urbino, pędzla Rafaela, który długi czas za jego portret własny poczytywany, dziś w galerji Czartoryskich w Krakowie się znajduje, rysunku przez Van Dycka w r. 1622 wykonanego, a dziś w zbiorach ks. Devonschire, na zamku Chatsworth w Anglji się znajdującego. Należy tu dalej, również w galerji Czartoryskich znajdujący się, autentyczny portret Van Dycka, t. zw. Lady Pembroke, zaczęty we Francji w r. 1635, a później dopiero w Anglji wykończony, w którym p. Mycielski dopatruje się bliskiego pokrewieństwa ze znajdującym się w galerji windsorskiej portretem księżnej de Cautecroix; a wreszcie zagadkowa akwaforta niejakiego Seghersa, według rzekomego rysunku Van Dycka wykonana (w słynnej jego Ikonografji), a przedstawiająca, jak twierdzi napis: Godfryda (!) Chodkiewicza, księcia Moskwy, a prawdopodobniej hetmana Jana Karola, lub syna jego Krzysztofa. Tytuł „księcia Moskwy“ *(Moscoviae)* mógł tu powstać z przekręcenia tytułu Chodkiewicza „hrabia na Myczy i Szkłowie“. Ta inwentaryzacja „polskich“ Van Dycków lub utworów z utworami jego w związku pozostających ze zbiorów Czartoryskich (Lady Pembroke), Sanguszków w Podhorcach (Miłosierny Samarytanin) i Tarnowskich w Dzikowie (z pracowni mistrza, wyszły portret ks. Richemond) i innych jest wartościowym dla nas przyczynkiem, jaki pracowita książka p. Mycielskiego przynosi.

A. C.

*

Cierpienia nerwowe, ich przyczyny, objawy i leczenie. Napisał Dr. Władysław Sterling. Warszawa, Drukiem M. Arcta.

Nie często zdarzy się spotkać książeczkę tak małą, a jednak tak pełną treści i uwag na czasie, jak właśnie ta broszurka popularna z szeregu popularnych wydawnictw p. t. „Książki dla wszystkich“. Jest to istotnie dobrze ułożony, a króciutki podręcznik „dla wszystkich“, bo i któż w obecnych czasach w mniejszym lub większym stopniu, nie podlega tej chorobie wieku naszego, tej neurastenji, rozstrojowi i osłabieniu nerwowemu. To też książeczkę napisaną bardzo przystępnie i treściwie a przy tem fachowo, przeczyta z wielkiem zajęciem każdy, komu pod rękę podpadnie, zarówno człowiek mniej wykształcony, jak i uczony literat, lub artysta, a z pewnością niejeden z tej lektury odniesie korzyść. Z lekka poruszył w niej autor wiele ważnych zagadnień współczesnych, że wspomnimy tylko reformę wychowania, a w niektórych pogląd-

dach, opartych zresztą na naukowej podstawie, uderza pewna odwaga, zrywająca z utartemi formułkami i uprzedzeniami. *S. M.*

*

Jak ochraniać dzieci od chorób? Dr. G. Petit. Przełożył z francuskiego dr. St. Bartoszewicz. Warszawa 1902. Jest to zwięzły poradnik dla matek i opiekunów młodzieży, — może za nadto zwięzły a ztąd nie dość jasny miejscami. Kogo jednak odstraszają obszerniejsze rozprawy na ten temat, dla tego ponętny będzie tak nadzwyczaj krótki elementarz hygieny dzieci.

*

Znużenie. Odczyt Dra St. Kopczyńskiego (z wydawnictwa p. t. „Książki dla wszystkich“). Autor w popularnym wykładzie, zaznajamia czytelnika z nowszą metodą badania praw, znużenia fizycznego i umysłowego, tudzież z wynikami tych badań, które mają wielkie praktyczne znaczenie, tak dla racjonalnej pedagogji, jak w ogóle dla hygieny pracy umysłowej i fizycznej.

SZTUKA. *Zamęt,* pod tym tytułem zamieszcza artysta-malarz p. Antoni Piotrowski w „Gazecie Polskiej“ feljeton, w którym chwilę obecną w sztuce naszej, jako chwilę zamętu charakteryzuje; jako dobę w której ścieranie się najrozmaitszych prądów, u nas tylko teoretycznie, zastój czynów spowodowało. P. Piotrowski spogląda na współczesną twórczość polską okiem zbyt pesymistycznem, nie można mu jednak odmówić pewnej słuszności, gdy mówi, że nasze spory artystyczne i polemiki toczą się przeważnie *„de lana caprina“*, że niecierpliwie przerzucamy nowości z zachodu, wschodu, lub południa importowane — i jakoś nikt ich przystosować do naszych potrzeb nie może. „Do pewnego stopnia zamęt ten powstał z braku przywódzców, pisze p. Piotrowski, drugą przyczyną jego jest jednak i rozbudzenie się poczucia potrzeby czegoś swego. Przedtem mieli je już ludzie tacy jak Witkiewicz, Matlakowski, ci zaś mało mówili, ale wiele robili. Ogół jednak potrzebuje długiego i ciągłego podrażniania jakąś nową myślą, zanim ją sobie przyswoi; ale z chwilą, gdy raz ta myśl go opanuje, rwie przeszkody i płynie, jak ta wezbrana rzeka“... Bardzo trafne jest to, co w dalszym ciągu pisze p. Piotrowski o secessji, która wyszła z Anglji, a którą Niemcy dopiero — umieją oni z wszystkiego zrobić wielką tandetę! — przeczuwszy interes, zbanalizowali zupełnie i wkrótce zalali Europę swoimi wyrobami secesyjnymi, bo angielskie są za kosztowne.

„Pomijając więc rozmaite smaki z przeszłości — musimy rozpocząć walkę z secesją; będzie ona bowiem długo grasowała“, dodaje p. Piotrowski, który jeszcze zajmujący swój feljeton kończy następnemi, bardzo trafnemi słowy: „Nie łudźmy się jednak, a my do złudzeń jesteśmy bardzo skłonni, że styl swojski po jednym konkursie wyleci, jak Minerwa z głowy Jowisza, i, że już dziś możemy uważać kwestję za załatwioną, a rachunki nasze z przeszłością w sztuce za zamknięte. Złudzenie to byłoby szkodliwem i dziecinnem. Niecierpliwość prowadzi do zniechęcenia i apatji. Tu trzeba spokojnej, usilnej pracy. Nie druzgocmy więc odrazu dziecinnie tego, co jest, bo z tego, co ma być, jeszcze nie ma nic, prócz nadziei, nieuzasadnionej może zgoła... W historji ludzkości i kultury nie ma skoków, są przejścia. Tego co zaniedbały wieki, nie zrobią dni.

My czasem trochę płytko rzeczy bierzemy i zdaje się nam, że to co widzimy dziś — dziś również powstało. Również nieraz, jeśli chcemy coś zrobić, to chcemy zaraz, na poczekaniu, a jak się nie uda, zniechęcamy się i przestajemy myśleć o tem, co nas przed chwilą zajmowało. Czas i praca — cierpliwość i wytrwałość“.

A. C.

NOTATKI. *W sprawie pojedynków.* W ostatnich latach wszczęto energiczną propagandę przeciw manji pojedynkowej, a w sprawie tej zabrały głos najpoważniejsze umysły, oświetlając ją ze stanowiska obyczajowego, religijnego, społecznego i sądowego. Zewsząd poczęto się domagać ukrócenia zwyczaju pojedynkowego przez ustawodawstwo karne, zbyt lekko dotąd traktujące zbrodnię pojedynku. Obecnie zaś w niemieckich kołach prawniczych poruszono myśl, by w razie zabójstwa w pojedynku lub nawet okaleczenia, winny pociągnięty był z urzędu do odpowiedzialności cywilno-sądowej i obowiązany był do utrzymywania czy to osoby w pojedynku okaleczałej i skutkiem tego do pracy niezdolnej, czy też rodziny, pozostałej po poległym.

Jest to żądanie zupełnie słuszne, znajdujące poniekąd uzasadnienie już w obecnych przepisach prawnych, które jednak pod tym względem zostawiają różne wątpliwości. Należy zatem dążyć do uzupełnienia tych przepisów w drodze ustawodawczej.

W ten sposób obaj przeciwnicy, szykujący się do pojedynku, ściągaliby na siebie nietylko odpowiedzialność karną, ale również narażaliby się na znaczne zobowiązania z tytułu odszkodowania, co niewątpliwie bardzo wielu od pojedynku powstrzymaćby mogło.

Byłoby pożądanem, aby tą sprawą zajęli się w Radzie państwa w stosownej chwili i nasi posłowie i z odpowiednimi wnioskami w Izbie poselskiej wystąpili.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8